

Czy warto w taką pogodę wychodzić w góry?

Pewnie wiele osób zadaje sobie takie pytanie gdy spojrzy przez okno i widzi, że ... nic nie widzi. A właściwie widzi zachmurzone niebo, mgłę czy sine albo czarne chmury przewalające się nad szczytami.

I w tym momencie pojawia się właśnie to kluczowe dla dalszych poczynań pytanie. Iść czy nie iść. A podjęcie decyzji nie jest takie proste. Rodzi bowiem pewne skutki.

Zdrowo myślący człowiek powie, że nie warto wychodzić z domu. Bo i po co. Żeby zmoknąć, zmarznąć czy przeżyć rozczarowanie. Są jednak ludzie, dla których taka pogoda jest zachętą do przeżycia doznań jakich nie uświadczysz na co dzień kiedy spacerujesz po górach gdy jest piękna pogoda. Oczywiście nie mówimy tutaj o lekkoduchach, którzy za nic mają pewne zasady obowiązujące, zwłaszcza w wyższych partiach gór. Tacy podejmując decyzję o wyjściu w teren nigdy nie kierują się zdrowym rozsądkiem, jaki w takich przypadkach jest nieodzowny.



Schronisko PTTK „Samotnia” im. Waldemara Siemaszki. Foto: Krzysztof Tęcza

Zatem nie będę tutaj swoich słów kierował do nich. Najważniejsze bowiem w górach jest bezpieczeństwo. Jeszcze nigdy nikt nie wygrał z górami. Bo to, że wejdziemy na jakiś szczyt to nie jest pokonanie góry. To góra pozwoliła nam łaskawie wejść na nią byśmy mogli zachwycić się widokami jakich nie doświadczymy spacerując w parku miejskim. To góra, oczywiście wraz z panującymi w tym momencie warunkami atmosferycznymi, u nas dodatkowo przy łaskawym zezwoleniu Karkonosza, decyduje o tym kto i kiedy może stanąć na jej szczycie.

I właśnie tutaj należy zadać sobie pytanie: czy jestem przygotowany na to by skorzystać z takiego przyzwolenia i dotrzeć na jej szczyt podczas wydawałoby się brzydkiej pogody. Bo to właśnie ja muszę być świadomym mojej kondycji, mojego przygotowania czy posiadanego wyposażenia ułatwiającego przeżycie w trudnych górskich warunkach. Nie każdy przecież jest Kukuczką i nie każdy chce zdobywać ośmiotysięczniki.

Jest jednak pewne ale! Otóż w naszym przypadku, gdy mieszkamy w Górach Olbrzymich często jesteśmy zaskakiwani zmianami pogodowymi, i to nagłymi zmianami. Dla tych, którzy chodzą po Karkonoszach czy Górach Izerskich od lat takie zmiany nie są niczym nowym. Zwłaszcza w wyższych partiach Karkonoszy. Nieraz przecież byliśmy nimi zaskakiwani. Często zdarza się, że robiąc zdjęcie jakiegoś schroniska czynimy to w ciepłych promieniach słonecznych a po przejściu na drugą stronę obiektu mamy nagłe załamanie pogody i jesteśmy w samym środku nawałnicy. To nie jest nic dziwnego. Tak to w naszych Karkonoszach bywa. Ale musimy mieć tego świadomość. Musimy być do tego przygotowani. Dlatego zanim wyruszymy w góry powinniśmy zastanowić się co ze sobą zabrać. Wiadomo nie warto dźwigać niepotrzebnych rzeczy, które najprawdopodobniej nam się nie przydadzą akurat w tym dniu. Jednak warto, sprawdzivszy prognozę pogody, także ocenić wzrokowo góry i zastanowić się co może nas tam spotkać. Wtedy będziemy wiedzieli czy zabrać z sobą mniejszy plecak czy większy. Tak, tak, każdy chodzący po górach od lat ma w domu kilka różnych plecaków na różne ewentualności. Gdy już wybierzemy swój plecak pakujemy do niego to co wydaje nam się, że będzie potrzebne. Oczywiście nie zawsze, nawet osoby doświadczone, trafią idealnie z wyborem sprzętu. Czasami czegoś nam zabraknie, czasami będziemy nosili coś co nam się wcale nie przydało. To może jednak ograniczyć się w tym pakowaniu? Nie, nie warto. Lepiej jednak nosić coś niepotrzebnego niż później żałować, iż nie wzięło się akurat tego. Czasami taki nieprzydatny sprzęt może uratować nam życie. Nie wdając się w szczegóły podam przykład. Kiedy zimową porą przez tydzień wędrowałem tatrzańskimi szlakami dzień w dzień dźwigałem raki. Wydawało się to patrząc na panujące warunki nieodzowne. Jednak jak się okazało przez pięć dni nie musiałem użyć ich ani razu. Zatem gdy szóstego dnia wyruszałem na ostatnią wędrowkę po prostu zostawiłem raki w hotelu. Po co miałem je dźwigać – pomyślałem. I mimo mojego doświadczenia właśnie tutaj popełniłem błąd. Okazało się, że gdy dotarłem do Siklawy prowadzącej w Dolinę Pięciu Stawów nagle stanąłem na czystym lodzie. W tym momencie nie mogło już być mowy o odwrocie. W takim przypadku nic by mnie nie uratowało. Cóż było robić. Jediną skuteczną metodą okazało się położenie na brzuchu i wolniutkie pełzanie w górę do widocznej przełęczki. Na szczęście udało się choć trwało to całe wieki. Gdy dotarłem do schroniska pani dziwiąc się którądy przyszedłem powiedziała, że niewiele wcześniej ratownicy podjęli zwłoki turystki, która próbowała tamtędy przejść.

Jak widać nie warto było pozbywać się tych kilku kilogramów sprzętu.



Schronisko PTTK „Strzecha Akademicka”. Foto: Krzysztof Tęcza

Wracając jednak do wędrówek po naszych pięknych Karkonoszach postanowiłem sprawdzić aktualne warunki panujące powyżej granicy lasu. Dlatego wybrałem się na trzydniowy spacer korzystając z promocji ogłoszonej przez schronisko Samotnia, które to oferowało noclegi za 1 złote. Głównym celem mojej wędrówki była chęć sprawdzenia zimowych tras pod wycieczki jakie chciałbym poprowadzić w najbliższym czasie. Dlatego tym razem spodziewając się nieco innych warunków pogodowych zapakowałem trochę większy plecak niż czynię to podczas jednodniowych wycieczek. Zabrałem trochę ciepłych ubrań. Może nie każdy to wie, ale idąc w góry najlepiej mieć kilka różnych ubrań na zmianę, ale przede wszystkim po to by można było podczas wędrówki ubierać się na cebulkę. Jest to najlepszy sposób na to by się nie przegrzać ani nie zmarznąć. I należy z tego korzystać. Znam bowiem osoby, które biorą z sobą wiele warstw do ubrania a później przez cały dzień noszą je w plecaku. Nie o to chodzi.

Tym razem gdy wsiadałem do autobusu w Jeleniej Górze panowała jesienna pogoda. Było w miarę ciepło i sucho. Jednak po dojechaniu do Karpacza Górnego (dawnych Bierutowic) nie było już tak ciekawie. Ulice nie tylko, że były przykryte warstwą śniegu, ale był on zmrożony a pod nim była ukryta warstwa lodu. Tak, że podejście do świątyni Wang stało się pierwszym sprawdzianem czy dobrym pomysłem było w tym dniu wyjście w góry. Co prawda zajęło to mi trochę czasu, ale udało się spokojnie dojść do kasy biletowej Karkonoskiego Parku Narodowego. Dalej było w miarę dobrze, tzn. zalegało trochę śniegu, było trochę lodu, ale gdy szło się spokojnie nie było żadnych rewelacji. Oczywiście czas potrzebny na dotarcie do Polany znacznie się wydłużył. To była już pierwsza korekta moich planów. Na szczęście wiedząc, że mam jeszcze dwa zapasowe dni nie przejmowałem się tym zbytnio. Dlatego dalsza wędrówka po stromej części drogi odbywała się w jeszcze wolniejszym tempie. Turystów było niewielu, ale to przecież środek tygodnia, większość ludzi jest w pracy. Jak się okazało zarówno droga główna jak i dojście do Samotni było pięknie odśnieżone. To pracownicy schroniska zadbali, by można było dotrzeć na miejsce z zaopatrzeniem. A turyści dzięki temu nie musieli przedzierać się przez zasy.

Zanim dotarłem do schroniska, zgodnie z moim oczekiwaniem, nastąpiło raptowne ochłodzenie co nie zachęcało do dalszej wędrówki. Zaraz zaczęło się ściemniać więc widząc budynek Samotni byłem zadowolony, że dotarłem tutaj przed zmierzchem.

Samotnia to stary obiekt wymagający ciągłych inwestycji. Nic też dziwnego, że od razu rzucili mi się w oczy pracownicy nowych najemców montujący jakieś drobne elementy. Działali oni do późnych godzin wieczornych. W pierwszym momencie był spory tłok gdyż jeden z naszych przewodników przyprowadził 60-osobową grupkę młodzieży. Ale po zagraniu się i zjedzeniu posiłku wyszli oni z powrotem do Karpacza. Zrobiło się luźno. Nie zostałem jednak sam. W schronisku było sporo gości skuszonych wspomnianą promocją. Myślę, że taka promocja to dobra sprawa. W rozmowach okazało się, że skorzystali z niej zarówno stali bywalcy jak i osoby będące tu po raz pierwszy. W sumie nie było źle. Do późnych godzin można było zamówić w kuchni coś do zjedzenia, było czysto i ciepło. Czego więcej można wymagać po całodniowej wędrówce. Pokoje także okazały się czystutkie. Widać, że wszystko było nowe. Trzeba przyznać, że nowi najemcy włożyli tutaj dużo pracy no i oczywiście kasy. Nie ma nic za darmo. Nie jest źle. Toalety zadbane, w prysznicach ciepła woda, na korytarzu dostępny czajnik do gotowania ciepłej wody. No jednym słowem super. Jeśli przyniosłem sobie coś swojego mogę spokojnie to skosztować. Jeśli liczyłem na to, że wszystko podadzą mi pod nos, nie zawiodłem się.



Śnieżka. Foto: Krzysztof Tęcza

Ponieważ wspomniałem, że celem mojej wędrówki była kontrola szlaków, następnego dnia ruszyłem z samego ranka w drogę. Powolutku wspiąłem się stromym podejściem do kolejnego schroniska Strzechy Akademickiej. Okazało się jednak, że wyszedłem tak wcześnie, że tam jeszcze wszyscy spali. Ponieważ pogoda zaczynała się psuć nie zwlekając ruszyłem w dalszą drogę. Tutaj także było świeżo odśnieżone. Zresztą zaraz zjeżdżał wielki ratrak. Co prawda nie lubię chodzić po przejechaniu takiej maszyny gdyż pozostawia ona teren według mnie bardzo niewygodny do chodzenia. Nie miałem jednak innego wyjścia. I w ten sposób szybko dotarłem na Równię pod Śnieżką. Niestety Śnieżki nie było widać. Sine a czasami czarne chmury skutecznie ją zasłaniały. Chociaż czasami zdarzało się, że wiatr je przeganiał ale trwało to tylko chwilę. Niestety zrobiło się znacznie chłodniej co od razu poczułem na policzkach. Trzeba było założyć kominek i ciepłe

rękawice. Nie wyglądało to zachęcająco, ale ponieważ prawie nie było turystów ruszyłem dalej mając nadzieję, że spokojnie dotrę na sam szczyt. Oczywiście brałem pod uwagę możliwość odwrotu. Tutaj było znacznie bardziej ślisko niż do tej pory i praktycznie bez raczków dalsza droga była prawie niemożliwa. Dzięki niewielkiej ilości śniegu łańcuchy zabezpieczające drogę zakosami były bardzo pomocne zarówno w trakcie podejścia jak i drogi powrotnej. Trzeba wiedzieć, że zarządca terenu ze względów bezpieczeństwa na okres zimowy zamyka Drogę Jubileuszową.



Lučni bouda. Foto: Krzysztof Tęcza

Często podczas tak niesprzyjającej pogody zdarza się, że na szczycie nagle tworzą się okienka pogodowe wynagradzające nasz trud. Tak też było i tym razem. Było kilka chwil kiedy chmury się rozstąpiły i wyszło słońce. Nie trwało to jednak zbyt długo. Zatem po nacieszeniu się tymi miłymi chwilami od razu ruszam na dół. Teraz jednak droga jest znacznie gorsza. Każdy wędrowiec musi wiedzieć, że łatwiej podchodzi się pod górę niż schodzi na dół. Zwłaszcza w tak ciężkich warunkach. I nie ma co się wstydzić trzymając się łańcuchów. Wszak najważniejsze jest zejść całym. Nie ma co się spieszyć. A że warunki były bardzo ciężkie świadczy choćby fakt, że ratownicy wwożący na górę swój sprzęt zrezygnowali z wjazdu samochodem i po wyładowaniu plecaków poszli dalej pieszo.

Ja tymczasem ruszyłem do Lučni boudy. Szybko okazało się, że tutaj „za granicą” warunki śniegowe są zupełnie inne. Było znacznie więcej śniegu, a mniej lodu. Po chwili pojawili się pierwsi narciarze. Czesi bardzo lubią wędrowki narciarskie nie jest więc trudno ich spotkać chodząc po czeskiej stronie gór. Od razu powiem dla mniej doświadczonych, że w okresie zimowym w szczytowych partiach Karkonoszy nie tylko wyznacza się zimowe szlaki przebiegające bardziej bezpiecznymi częściami terenu, ale także oznacza się je drewnianymi tyczkami wysokimi na 4 metry. Pozwala to nawet podczas większych opadów na dostrzeżenie ich. Chociaż pamiętam zimy kiedy tyczki były w niektórych miejscach całkowicie pod śniegiem. Nie jest takie łatwe wtedy podążanie szlakiem, którego nie widać. Niedoświadczeni turyści raczej nie mają szans na dotarcie do planowanego miejsca co stwarza dla nich spore niebezpieczeństwo. Wiadomo, że w warunkach zimowych krajobraz zmienia się powodując, iż wszystko wygląda tak samo. Lepiej wtedy przyjąć do wiadomości, że dalsza wędrowka jest zbyt niebezpieczna i zawrócić. Nie ma w tym żadnego wstydu a często taki ruch może uratować nasze życie.

Tym razem spotkała mnie bardzo ciekawa sytuacja. Gdy zaczynałem niecierpliwić się, że idę, idę a kolejnego schroniska wciąż nie widać nagle mgła rozeszła się i dosłownie kilkanaście metrów przede mną ukazała się w całej okazałości Lučni bouda. Tak niespodziana sytuacja od razu wprowadziła mnie w dobry nastrój. Mogłem wreszcie zagrzać się i zjeść ciepłą zupę. Ponieważ nie byłem w tym schronisku jakiś czas zaskoczyły mnie zmiany jakie tu nastąpiły. Wszystko było zorganizowane na zasadzie samoobsługi. Samemu wybierało się posiłek, nalewało piwo czy kawę i samemu płaciło wykorzystując terminal płatniczy.



Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy ruszyłem w dalszą drogę okazało się, że podczas odpoczynku wiatr przegonił chmury i wreszcie było coś widać na horyzoncie. Nie miałem więc problemu z podejściem do Spalonej Strażnicy i zejściem obok Strzechy Akademickiej do Samotni.

W nocy nastąpiła całkowita zmiana pogody. Zaczął wiać silny wiatr, padać mokry śnieg i zrobiło się znacznie zimniej. Doświadczyłem tego kiedy rano wyszedłem ze schroniska. Ledwo oparłem się podmuchowi wiatru. Widać było, że droga na dół nie będzie łatwa. Nie tylko z powodu zalegającego świeżego śniegu przykrywającego stwardniałą poprzednią warstwę, ale przede wszystkim z powodu tego mocnego wiatru. Na szczęście pierwsza część trasy prowadziła tak, że wiało w plecy. Dopiero po dojściu na Polanę i zmianie kierunku wiatr zaczął kaleczyć twarz małymi lodowymi szpileczkami. Do tego wytworzyła się nowa szklana powłoka na bruku. Nie było łatwo utrzymać się na nogach. Doświadczyłem tego kilkakrotnie wywijając orła i lądując na glebie. Było to bardzo bolesne. Najgorsze jednak czekało mnie przy Wangu. To krótkie acz bardzo strome zejście w tym momencie stało się prawdziwym wyzwaniem. Miałem szczęście, że cały doszedłem do przystanku.

Kierowca jechał bardzo ostrożnie a gdy dotarliśmy do Kowar śnieg nagle zniknął i zrobiła się prawie wiosenna pogoda. Okazało się, że podczas tej trzydniowej wędrówki przeżyłem wszystkie pory roku, no może poza latem.

I teraz pora odpowiedzieć na zadane na wstępie pytanie. Czy warto w taką pogodę chodzić w góry? Odpowiedź jest tylko jedna. Oczywiście, że warto. Należy to jednak czynić z rozwagą. Najważniejsze to być gotowym na zawrócenie z trasy jeśli warunki będą zagrażały naszemu życiu. Prawda jest taka, że z górami jeszcze nikt nie wygrał. I nie wygra. To góry dyktują nam warunki. A my musimy ich przestrzegać.

Ponieważ w dzisiejszych czasach niemal wszyscy posługują się elektroniką warto wgrać w nasz telefon bezpłatną aplikację „Ratunek”, dzięki której w momencie gdy zawiedzie nas wszystko możemy połączyć się ze stacją ratownictwa górskiego (GOPR) a ratownik dyżurny od razu będzie miał na swoim ekranie naszą dokładną lokalizację.

Krzysztof Tęcza